



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Mgiel rozwarły się tumany,
Słońce sypie złote skry,
Maj nadechodzi pożądany,
Wiosną każde serce drży.

Wiosną dyszą pączki młode,
Pola, łąki, ogród, las—
Listkom, kwiatom na swobodę,
Ptakom — na piosenki — czas.

Leci bocian ponad łąki,
Zaklekotał gdyby dzwon,
Pochwyciły wnet skowronki
Tej: „Majowej” pieśni ton!

Wróble się nad wioską wiją
Szarym wieńcem, aż do chmur...
I pozdrawia Cię — Maryjo
Wszystkich ptasząt zgodny chór!

A pod rosą, pod poranną
Kwiatki chylą główki znów,
Niosą Ci — Najświętsza Panno
Swoje wonną pieśń — bez słów!

Za ptaszków, kwiatów czeladką,
Kiedy droga wolna już,
Dzieci tłum, Najświętsza Matko,
Szeptem pacierz czystych dusz!

Bożymir.

CUDOWNY KWIAT

(Legenda bretońska).

Jest w Bretanii, nad brzegiem oceanu, osada rybacka zwana Le Volgöet. W tej wiosce urodziło się przed kilku wiekami dziecko, które wedle opinii doświadczonych kumoszek nie słyszało i nie widziało nic z tego, co widzieć zwykli synowie rybaków. Dzieciątka temu dano na chrzcie świętym imię Salomon, rodzice zdrobniłi je na Salaune, i Salaune rósł obcy sprawom tego świata, nie głuchy jednak ani niewidzący, o wcale nie!

Salaune miał prześliczne jak błękit nieba oczy i otwierał je szeroko na światło, płynące od zorzy lub od blasków zachodu; Salaune słyszał szum fal, słyszał zwłaszcza świergot ptaków w pobliskim lesie. Do lasu uciekał, jak tylko jego chude, bosc nóżki zdołały go tam zanieść.

Salaune nie był podobny do innych dzieci, przebaczał, gdy mu wyrządzano krzywdę, nie dokuczał sam nikomu. Dokuczać? Toż Salaune gniewać się ani krzyczeć nie umiał, on i nie jadł prawie. Dostawał od matki kawał suchego chleba, szedł do lasu na cały dzień i tam dzielił się okruciami z głodnym ptactwem. Zanim jednak przestąpił próg chaty, mówił zawsze pacierz, nikt mu o nim przypominać nie potrzebował. Klękał pobożnie przed obrazami, wznosił do nieba cudne swe oczęta i szeptał słowa pozdrowienia anielskiego:

— *Ave Maria!*

Oprócz tej krótkiej modlitwy nie słyszano z ust Salauna innych wyrazów. Rodzice rozumieli dziecko, ale sąsiedzi ruszali wzgardliwie ramionami i nazywali chłopca niezdarą, czasem idyotą.

Tymczasem Salaune rósł, oczy jego były coraz podobniejsze do błękitu nieba, usteczka śmiały się anielskim, prześlicznym uśmiechem. Żył z ptakami jak z braćmi, bo koledzy gardzili nim, ptaki też rozumiały dziecko, zlatywały się na jego głos, otaczały główkę kręgiem skrzydeł i towarzyszyły wszędzie, gdziekolwiek szedł, szukając samotności.

— Czemu uciekasz do lasu, Salaune? — pytały rybaczki.

— *Ave Maria!* — odpowiadało dziecko i uśmiechało się tak rzewnie, że stare kobiety nie śmiały łąjąc go ani potrzącać. Tak upłynęło lat ośm, czy więcej. Aż zdarzyło się raz, że burza zaskoczyła rybaków na morzu, właśnie kiedy rodzice Salauna zastawiali sieci. Fala wyrzuciła na brzeg trzy łodzie, w ostatniej leżeli martwi — ojciec i matka chłopczyny.

Przywołano sierotę z lasu, Salaune i wtedy nawet nie krzyczał, nie zawodził, jak to zwykli czynić dzieci, kiedy je spotka boleść. Drżał, trzęsły mu się usteczka od tłumionego płaczu, a zbladłe wargi szeptały pozdrowienie:

— *Ave Maria!*

Szeptały tak dzień, szeptały noc. Salaune nie odstępował trumny rodziców, nie zmrużył znużonych ocząt, nie wziął do ust pokarmu. Od zorzy porannej do późnego zachodu powtarzał tę samą modlitwę:

— *Ave Maria!*

A potem wrócił do lasu i nie powstał już w chacie rodzicielskiej. Sypiał na drzewie wśród ptaków, żywił się jagodami, korzonkami, czasem, gdy dokuczył mu głód, przychodził po chleb do mieszkań ludzkich z pokorną prośbą na ustach:

— *Ave Maria!*

Takie to było biedactwo chude, takie przezroczyste i jasne od jasności, która wybijała się na twa-

rzycze Salauna z głębi pięknych jak błękit nieba oczu.

— Idyota — mówili rybacy i litowali się nad niemem dzieckiem za to, że ono tylko dwa słowa, tylko *Ave Maria!* wymówić umiało. Świergotał Salaune temi dwoma wyrazami jak przepióreczka, która ludzką gwarą „Pójdźcie żać” woła.

Nikom nie uczynił Salaune nic złego. Gdzież zaś! Alboż to Boże ptaszę mogłoby rękę podnieść na najlichsze stworzenie? Toż nędznego robaczka uszanował, bo drogi jego pełzania rozumiał, a podziwiając wszelakość stworzenia, klękał na ziemi i pełen zachwytu wołał:

— *Ave Maria!*

Ale chudł Salaune coraz więcej i coraz rzadziej do Volgöet po chleb przychodził. Cudem przetrwał zimę, okrywając się liśćmi, które chłody jesienne zwiały z drzew, dopiero kiedy wiosna ogrzała ziemię, usnął w majowy poranek i nie obudził się więcej. Trafili do niego rybacy po świegocie ptasząt, bo zawisły one chimurą nad bezwładną główką chłopca. Salaune siedział oparty o brzozę, drzewo schylało białe gałązki i okrywało niemi sierotę, ale daremnie świegotały jaskółki, daremnie brzoza pieściła dziecko, nie słyszało ono ptasząt, nie poczuło muśnięcia wiosennych listków...

Poznali rybacy, że Salaune nie żyje i ulitowali się nad chłopcem.

— Niemy był, niezdarny, ale chrzest święty otrzymał; nie powinien zostać zwierzu na pożarcie.

Tak mówiły stare wilki morskie, nie trudzili się zbijaniem trumienki, tylko wykopali grób pod brzozą, tam gdzie Salaune zasnął na wieki i przysypali ciało ziemią. Alboż inne mogiły miewają ptaki? a Salaune żył jak ptak Boży, toż tylko dwa świegotał wyrazy: *Ave Maria!*

— Nie należy mu się chwała żadna! — zdecydowali rybacy i odeszli do Volgöet.

Stało się jednak inaczej:

— Matko! na grobie Salauna wyrósł kwiat!

— Tak pięknego kwiatu niema w całym lesie — mówiły dzieci z wybrzeża.

Nikt ich nie słuchał, jest-że czas słuchać dziecięcych gawęd, kiedy słońce dogrzewa i pora ludziom wypływać na morze?

Ale wieść o czarownym kwiecie, który wyrósł z mogiły Salauna, szła z ust do ust. Sprawdzono jej wiarogodność, podziw dla dziwnej rośliny rósł, nie widziano takiej na sto mil dokoła.

— Cud! cud! — powtarzali rybacy.

Teraz kto żył, mały czy wielki, biegł odwiedzić grób Salauna. Odwiedzali moglię dziecka ubodzy i bogaci, księża i zakonnicy, baronowie i rycerze, opaci i biskupi. Nawet książęta i królewicze szli do lasu podziwiać cudowną roślinę.

Cudowną, bo na listkach kwiatu czytać mógł każdy, kto czytać umiał, dwa wyrazy, te same pozdrowienie, które Salaune wymawiał niewinnymi ustami:

— *Ave Maria!*

Cud to był; Bóg chciał uczcić niewinność i cierpliwość sieroty, wzgardzonego z życia, a wielbiącego Matkę Najświętszą. Na rozkaz biskupa odkopano ciało Salauna. Z ust dzieciątka, z tych usteczek, które nigdy nie wymówiły kłamstwa, nie dały zgorzienia, nie obraziły nikogo gniewem, wyrosła łodyga cudownego kwiatu. Ona to modliła się swemi listkami za Salauna, ona wołała:

— *Ave Maria!*

— *Ave Maria!* — powtarzał za kwiatem lud, rybacy, księża, rycerze, opaci i książęta, a echo lasu

niosło pobożną litanie aż nad skalisty brzeg morza do Volgöet.

W miasteczku na miejscu cudu stoi dziś piękny kościół, Salaune czczony jest w nim jak błogosławiony, kapłani odprawiają mszę nad grobem dziecka. Jeden z tych kapłanów opowiedział mi legendę bretońską, a ja spisałam ją wedle jego słów dla was, czytelnicy moi.

Dla was, bo proszę Boga, aby usta wasze, jak usta Salauna, nie wymówiły nigdy słów gniewu ani kłamstwa, abyście znosili cierpliwie krzywdy i pamiętali, że w miłości leży moc cudu, i że o cud mogli się dla nas Ta, którą wzywamy słowami anioła:

— Ave Maria!

Zofia Bukowiecka. *)

Ś. p. Piotr Chmielowski.



Komuż nie znane to imię?

Znane ono zapewne i naszym czytelnikom. Jakkolwiek zmarły nie zasilął swemi pracami pisma naszego, lecz imię jego znane było nietylko jako historyka literatury, ale wielkiego miłośnika młodzieży i pedagoga, t. j. umięjącego każdą naukę tak przedstawić i ułatwić, że nawet umysł niedostatecznie przygotowany łatwo ją zrozumiał.

Poświęcał się głównie literaturze polskiej, wykladał ją jasno, ściśle i zajmująco. Zapewne wiele z naszych czytelniczek lub czytelników słyszeli od matki:

— Słuchałam wykładów literatury polskiej Chmielowskiego i do najmilszych zaliczam te chwile.

A ojciec mówił:

— Byłem razem z Chmielowskim w Szkole Głównej w Warszawie, lub:

— O tem dowiedziałem się z historii literatury Chmielowskiego, — albo:

— Chmielowski napisał już krytykę tej powieści.

Tak, bo Chmielowski oprócz nader zmuśnej pracy nauczycielskiej, był krytykiem. To jest każdą książkę czy to dla dorosłych, czy dla młodzieży przeczytał i napisał o niej swe zdanie, chwając to, co uważał za godne pochwały, wykazując, co zdaniem jego nie licowało z zasadami prawdziwego piękna, prawdy i dobra, które powinno być podstawą każdego utworu.

Nigdy też nie potępił do szczytu autora, lecz niejednemu z początkujących wykazał usterki, błędy i wskazówkami swemi na właściwą wprowadził drogę. Wielu też z młodych autorów i autorek zawdzięczają mu dobre rady, których i ustnie nie szczędził. Uprejmy i uczynny dla każdego, nie żałował nigdy swego czasu.

Spojrząwszy bowiem na pozostawione prace przez Ś. p. Chmielowskiego, prawie wierzyć się nie chce,

*) Legendę tę opowiedział mi w Krakowie ks. Zbyszewski; był on w Volgöet i odprawiał mszę św. przy ołtarzu, pod którym według podania miało być złożone ciało małego Salauna.
(przyp. aut.)

że jeden człowiek mógł przez stosunkowo nie długi przeciąg życia tyle napisać. To też Chmielowskiego możemy postawić jako wzór wielkiej i niezmordowanej pracowitości, tem więcej, jeżeli przypomnimy sobie, że obok zajęć literackich, tak dużo czasu poświęcał zmuśnej, nużącej i wyczerpującej pracy nauczycielskiej.

A pracą tą zajmował się od lat młodzieńczych, jak sam bowiem mówił, od 13-go roku życia dawał korepetycje.

Ciężkie warunki jego dzieciństwa nie pozwalały mu uczyć się tylko — ucząc się sam, pracować musiał na chleb powszedni, mundur i wpis szkolny. Tym to sposobem zdobywał sobie wiedzę, którą przyświecał społeczeństwu.

I tak pracował życie całe.

To też organizm jego wyczerpał się tą nadmierną pracą. Choroba płuc rozwijała się coraz więcej.

W roku 1897 wyjechał do Zakopanego — górskie powietrze tak dobrze wpłynęło na jego zdrowie, że rok temu mógł przyjąć zaofiarowaną katedrę literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim.

Z wielkim zapalem zabrał się do nowej pracy, widok młodzieży, uczęszczającej tłumnie na jego wykłady, dodawała mu siły.

— Odmłodziłem pomiędzy młodymi — powtarzał ze zwykłą sobie serdecznością.

Nie potrzebował on odmłodzenia, duch jego i umysł rozumiał doskonale tak porywy młodzieńcze, jak i wszystkie najświeższe prądy literatury, tak naszej jak i cudzoziemskiej. A jeżeli nie wszystkie licowały z jego usposobieniem, mówił:

— Młodzież musi być młodą, musi i powinna swoje porywy wypowiedzieć, aż znajdzie właściwą dla siebie drogę. — I jam młody, i u mnie wiosna w duszy! — dodawał żartując.

O tej wiosnie w duszy potrzebował upewniać, kto tylko go znał, rozumiał onę wiosnę jego ducha. Ale też i wiosna go zabrała.

Urodzony w Zawadyńcach pod Kamieńcem Podolskim, zmarł nagle we Lwowie 22 kwietnia 1904 r.

Zmarł, lecz prace jego pozwolą mu żyć długo w pamięci ogółu.

Do najważniejszych dzieł Chmielowskiego należą: „Adam Mickiewicz, zarys biograficzno-literacki,” „Współcześni poeci polscy,” „Historia literatury polskiej” i „Historia krytyki polskiej.” Śmierć Chmielowskiego jest istotną stratą dla piśmiennictwa i nauki naszej, gdyż trzeba pamiętać, że jeśli w ostatnich latach powiększył się znacznie zastęp poważnych pracowników w dziedzinie historii literatury i krytyki, to właśnie dzięki badaniom, wskazówkom i przykłodom takich mężów poprzedniej generacji, jak Małeckie, Tarnowski, Nebryng, Bartoszewicz, Pilat, Chmielowski.

Z. Morawska.

PSIE POLE.

POWIEŚ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

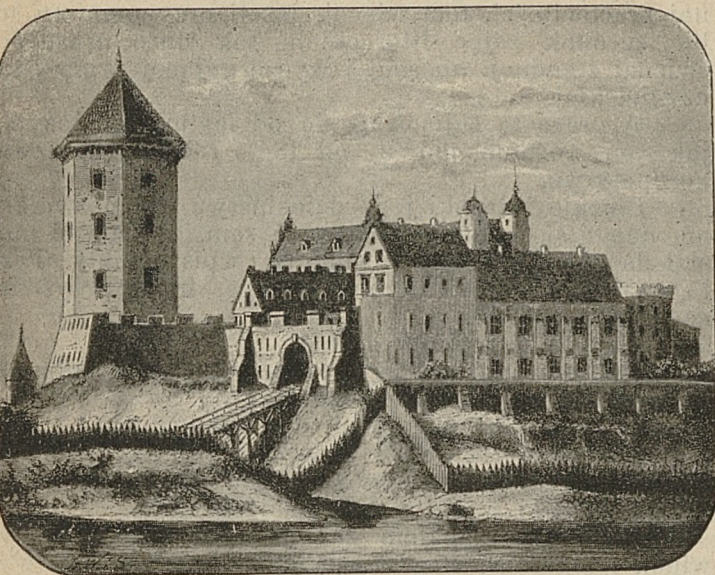
Włodzimierza Trąmpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

— Może przyjdzie taka chwila, że będę się wam mógł wywdzięczyć za ugoszczenie podróznego — dziękczynnie rzekł Stonóg.

— O wdzięczność nie dbam — szorstko i dumnie

Do pow. „Psie pole.”



Widok dawnego zamku w Kruszewicy nad Gopłem, zburzonego przez Szwedów.

odparł Wincz. — Chrześcijaninem jestem i wiem, że obowiązek nasz głosi: „Łaknącego nakarmić, pragnącego napoić

— Za co wy mną tak wszyscy gardzicie? — jęknął Stonóg, i żałośliwie spojrzął ku staroście, ale ten uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Jedz lepiej i pij, a niechaj ci to idzie na zdrowie. Jeżeli wola, to powiedz raczej, dokąd Dzierżek ma poprowadzić ten oddział z Kruszewicy?

— Do Gostynia — rzucił Stonóg — ma zburzyć dom Judy Natana.

Wincz skoczył z ławy, jak gdyby siła wielka podrzuciła go w górę.

— Chyba dyabły urządzają taniec w głowie twojej — krzyknął. — Burzyć dom Natana? Ależ człowieku, Natan nikomu krzywdy nie mógł zrobić w życiu, on muchy nie zabiłby nawet! A ilu to ludziom dopomógł! Ja sam kilkanaście niedziel przeleżałem u niego, liżąc się po ranach otrzymanych na Pomorzu. Kto wie, może ziemię gryzłbym teraz, gdyby nie jego opieka i balsamy. Mówże, co przewinić miał Juda stary?

— Tego już nie wiem — chytrze wykręcał się Stonóg — wojewoda rozkazał, a ja spełniam jego wolę.

— Łiesz! — huknął Wincz — nie napróżno widziałem z wieży, jak rozmawiałeś z Sieciechem.

Ale Stonóg milczał, Wincz przeto w wzburzeniu wielkiem chodzić zaczął po czatowni, wreszcie stanął przed stołem, na którym zastawione było jedzenie i piwo. Ponuro spojrzął na zajadającego z wielkiem smakiem szpiega i w wielkim gniewie kopnął nogą tak silnie, że stół runął, a dzban rozbity spoczął na podłodze kamiennej.

— Powiedzieliście niedawno, że chrześcijańską wyznajecie wiarę — cicho, ale piekielnie złośliwie syknął Stonóg.

— Dla takich łotrów, jak ty, zawsze poganinem będę.

— Sieciecha winujecie, on kazał.

— I ty jeszcze śmiesz mi urągać! — wrzeszczał Wincz, przybliżając się do szpiega. — To twoja

sprawka, nie dosyć ci było tylu ofiar, jeszcze biednego Natana oddajesz na śmierć. Ale niedoczekani twoje, podły gadzie niemiecki.

Wincz w niepohamowanym gniewie byłby się niechybnie targnął na zausznika Sieciechowego, gdy w tej chwili skrzypnęły drzwi i wszedł Dzierżek z Samostrzela.

Po wysłuchaniu rozkazu Dzierżek, acz niechętnie, dał polecenie, ażeby zebrano toporników i giermków i w chwili, gdy Władysław Herman z orszakien stanął już u bramy głównej, spuszczone boczny most zwodzony, na którym rozległ się tentent kopyt końskich. Za odjeżdżającym Dzierżkiem wołał Wincz jeszcze:

— A oszczędzaj biednego Natana, on z pewnością niewinny.

Orszak królewski piąć się zaczął po małym wznieśieniu, wiodącym do podwórza zamkowego, gdzie po jednej i drugiej stronie gościńca stało ze 30-tu wyrostków w dziwnej, szarej, mocno opiętej odzieży. Na głowie mieli nakrycia z miedzi, a blacha spadała aż na oblicza, że jeno oczy i usta wyzierały z pod tych przyłbic.

Sieciech, jadąc przodem, bystro przyjrzał się młodzieńcom, a sam nie wiedział, dla czego głosem mniej silnym, niż zazwyczaj i z bijącym sercem, za pytał się pierwszego z brzegu:

— Ko zacz jesteście?

Dworzanie pana Radonia z Borku — odparł zapytany.

— Podziękujcie waszemu panu — uśmiechnął się wojewoda — król nie zapomni nigdy rycerzowi z Borku tego, że w taki wspaniały sposób przyczynił się do podjęcia monarchy.

Jak gdyby odwdzięczając się za te słowa łaskawe, jeden z dworzan Radoniowych dał znak i z pierś wyrostków wydobył się śpiew potężny. Sieciech zbladł, posłyszawszy pierwsze wyrazy pieśni, której nigdy jeszcze nie nucono poprzednio.

— Co to jest? Co oni śpiewają? — z szaloną trwogą w głosie pytała się Judyta, podczas gdy król słuchał uważnie.

Sieciech nie odrzekł nic, posiniał tylko na twarzy, rozglądał się w około niespokojnie, a pieśń

Do pow. „Psie pole.”



Obecny widok dawniej strażnicy zamkowej w Kruszewicy.

brzmiała, podtrzymywana przez lud, wśród którego zaczęła już obiegać:

„Idzie Zbigniew po ulicy,
Niosą przed nim dwie szablisy.” *)

— Milczeć! — przeraźliwym z gniewu głosem krzyknął wojewoda, i piosenka urwała się nagle, a dworzanie w przyłbicach rozbiegli się i skryli w tłumie.

— To bunt, zmowa — piorunował Sieciech i przywołał najbliższe sługi, rozkazując im pojmać śmiatków, którzy w takiej chwili uroczystej odważyli się zamącić spokój dworu.

Ale lud ani myślał wydać chłopców, tłum zwarł się jak mur, a pierwszy ze sług Sieciechowych nie zdążył nawet dojechać, gdy strącony został z konia i padł, jak kłoda na ziemię, reszta się cofnęła.

— Prędej! — wołała Judyta. — Do zamku! chcę odpocząć!

Bolko nie rozumiał tego, co się stało, spoglądał tylko na ojca, który popadł w dziwny smutek, pochwytywszy uchem imię Zbigniewa.

— Głos ludu, głos Boga — szepnął Władysław Herman — ten głos poddanych moich brzmi teraz w głowie mojej, a pieśń zdaje się być wyrzutem sumienia.

Król mówił cicho, zatopiony w myślach własnych, Bolko więc, chcąc się dowiedzieć, co spowodowało gniew Sieciecha, zapytał:

— Ojczy, dla czego wojewoda kazał przerwać tę pieśń? Tak przecież była piękna.

Władysław Herman położył chudą, kościstą rękę na głowie chłopca.

— Lepiej dla ciebie, gdy się dowiesz o tem jak najpóźniej, a może po mojej śmierci.

Bolko czule przytulił się do króla i zawołał serdecznie:

*) Jest to najstarsza, jak twierdzi prof. Władysław Nebring, polska pieśń świecka. Niestety! przechowały się tylko te dwa wiersze. A są one ciekawe i z tego względu, że znajdujemy tu niezmiernie rzadką formę „podwójną.” *Dwie szablisy*, ale już *trzy szablisy*. Tak samo w przysłowiu: „Mądrej głowie dość *dwie* słowie.”

(Przyp. aut.)

— Nie mów ojczy o śmierci, patrz, jak cudowny ten świat w około, jak ńęci Gopło, jak błyszczy zamek, który pamięta Chrobrego.

Bolkowi się zdawało, że takim nie widział jeszcze ojca nigdy dotąd.

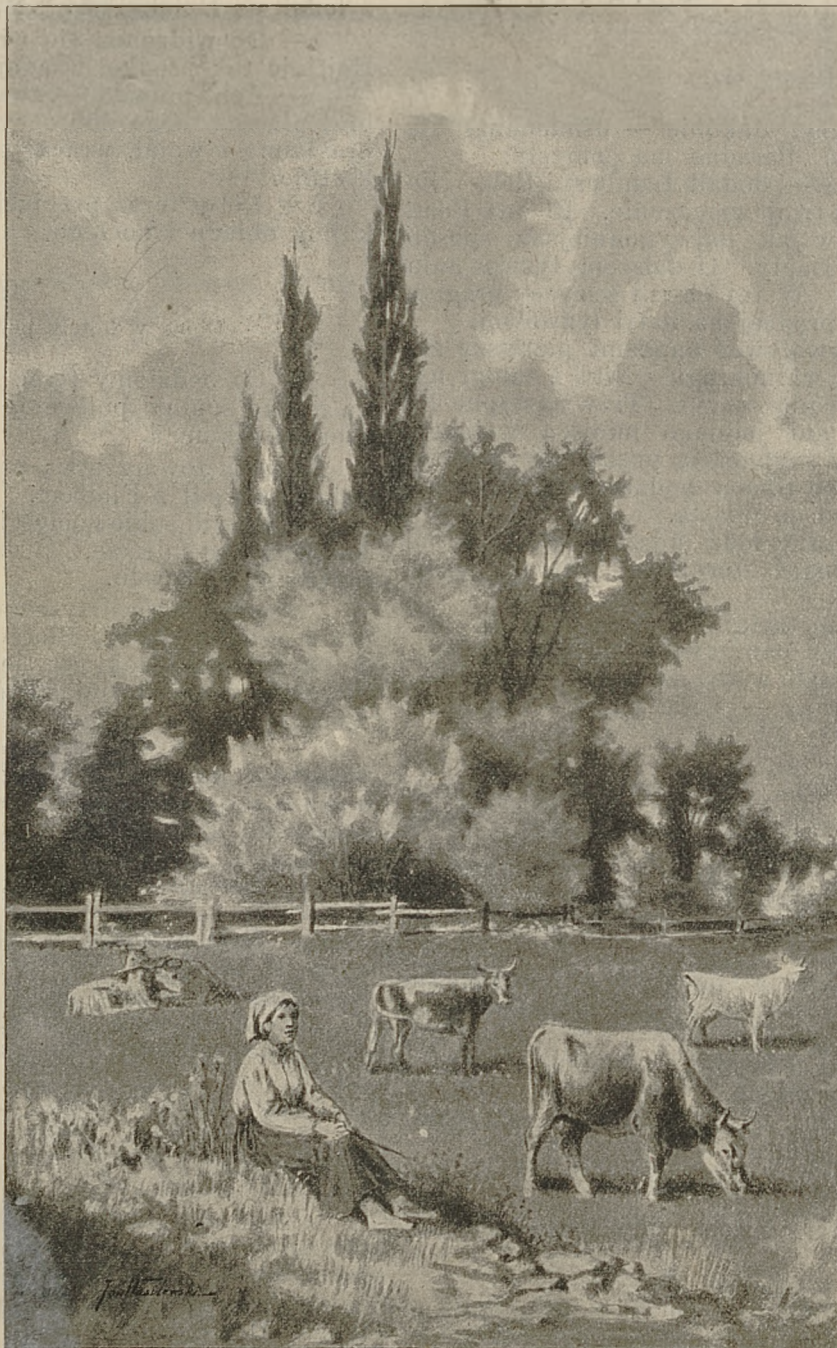
Orszak królewski wjechał wreszcie w podwórzec, król wdzięcznie pożegnał lud i udał się do komnat swoich, ażeby odpocząć po trudach podróży; Judyta z dworem swoim zajęła lewe skrzydło zamczyska, a w kuchniach smażyły się ryby, piekły na różnie kury i drób wszelki, kilkadziesiąt wołów i baranów rumieniło się przy ognisku, rozpalonem na powietrzu, nietylko bowiem monarcha i dwór jego musiał ucztować, ale starym obyczajem poczęstunek odfty należał się także mieszkańcom Kruszwicy i tym wszystkim, którzy ze stron bliższych i dalszych przyszli tutaj złożyć hołd dziedzicowi tronu Chrobrych. Wieczorem tysiączne ognie paliły się na Gopie, a blask bił taki ku niebu, iż zdawało się, że wspaniałe jezioro zapaliło się nagle i bucha żarem, więcej jeszcze piekącym, niż żary słoneczne.

Ten widok czarujący tak zachwycił Bolka, że chłopiec uparł się i noc postanowił przepędzić na wieży. Napróżno Judyta starała się powstrzymać młodzieńca, napróżno chciała wymóżyć, ażeby król zabronił

Bolkowi takiej zachcianki: Bolko uparł się i tak czule umiał przemówić do Władysława Hermana, że ojciec uśmiechnął się i dał pozwolenie:

Wincz ucieszył się szczerze, ujrzawszy w komnatach swoich królewicza, który tutaj dopiero odzyskał całą swobodę. Ale Wincz mniej dzisiaj był rozmowny aniżeli to bywało zazwyczaj, często też przerywał opowiadanie, popadał w zadumę, niespokojnie przechadzać się poczynął po pokoju, podchodził do okna i spoglądał w dal smutnie.

Bolko dostrzegł tę zmianę, tak umiał też zręcznie podpytywać się starego, że w końcu Wincz musiał wyznać szczegóły o bytności Stonoga i wyprawie Dzierzka. Królewicz zerwał się i chciał biedz do ojca,



W' majowy poranek.

ażeby uprzędzić wypadki, jakie stąd mogły wypłynąć, powstrzymał go jednak Wincz:

— Nie czyńcie tego, królewiczu — rzekł — podróż daleka zmęczyła naszego pana, a przytem pocóż narażać się Sieciechowi! Jestem pewny, że Stonóg został w błąd wprowadzony, a mam ufność w Bogu, że jeżeli kogoś posądzono niewinnie, to ten człowiek potrafi obronić się i dać świadectwo prawdzie.

(d. c. n.)



(Dalszy ciąg).

Pleciesz od rzeczy, Jakóbie — uśmiechnął się Ludwik. Zostawić go! Paradne ma pomysły!

— To nasza wina — dodali Lambert i Ben. Nie zwróciliśmy uwagi na twoje zmęczenie. Biedny Poot!

Teraz należało w jak najwygodniejszy sposób przewieźć Jakóba do Lejdy. O dalszem łyżwowaniu nie mogło być mowy. W tej chwili wszyscy pragnęli znaleźć się jak najprędzej na łodzi łyżwowej.

Piotr zaczął przywoływać znakami pierwszy żagiel, który dojrzał na widnokręgu. Nikt z załogi nawet spojrzeć na niego nie raczył. Trzy następne łodzie nie miały już ani jednego miejsca wolnego. Czwarta minęła ich z szybkością puszczonej strzały. Zniechęceni, myśleli, że trzeba będzie wspólnymi siłami dociągnąć Jakóba do miasta.

W tem jeszcze jedną łódź dojrzeli. Piotr zdjął czapkę i dawał nią znaki sternikowi. Na szczęście łódź zatrzymała się.

— A czego to pan żąda?

— Czy możesz nas pan zawieźć do Lejdy?

— Czemu nie, jeżeli wiatr pozwoli.

— Dobrze zapłacimy — wołał Karol.

— Ilu pasażerów?

— Sześciu.

— Siadajcie panowie. Ten panicz chory? osłabł?

— Tak, zmęczył się. Z Brock doszliśmy tutaj na łyżwach — objaśnił Piotr.

Biedny Jakób! Z jakimże trudem wprowadzili go koledzy na pomost łodzi! Kiedy nareszcie wszyscy zajęli swoje miejsca, sternik odkręcił śrubę i pomknęli ku Lejdzie.

— Z jakąż szybkością pędzimy! — cieszył się Ben. — Zdaje mi się teraz, że jestem ptakiem lecącym wzdłuż brzegów kanału.

Jakób potwierdził jego słowa skinieniem głowy, przyczem ziewnął straszliwie.

— Jakóbie, nie śpij, bo zmarzniesz! — ostrzegali go koledzy.

— Nie myślę nawet o spaniu — bronił się tłuścioch.

Może i nie myślał, lecz w pięć minut później chrapał.

Karol i Ludwik roześmieli się głośno.

— Trzeba go obudzić — mówił Ben. — Sen na mrozie może mu zaszkodzić. Hej! Jakóbie! Ja...kó...bie! Trzęśli śpiochem daremnie.

— Dajcie mu pokój! — uspakajał ich Piotr. — Niech śpi, tylko należałoby go okryć. Tu jakiś płaszcz

leży. Pozwoli pan? — dodał, zwracając się do przewoźnika.

— I owszem.

— Daleko jeszcze do Lejdy?

— Będzie jeszcze ze dwie fajki, może półtorej — odparł głos wychodzący z gęstych kłębow dymu.

— Nie słyszałem jeszcze, aby kto czas na fajki obliczał — zdziwił się Ben, — szczególny obyczaj.

— W każdym kraju znaleźć można dziwne obyczaje.

Statek mknął tak szybko, że wkrótce ujrzeli wieże i śpiczaste dachy Lejdy, które zdawały się wybiegać naprzeciw łodzi.

Teraz należało zbudzić Poota, co spowodowało pewne trudności, szczęśliwie jednak pokonane energią zbiorową chłopców.

Żagiel opadł, zgrzytnęła śruba i łódź stanęła u bram miasta.

Chłopcy wynagrodzili przewoźnika.

— Do widzenia, kapitanie — wołali, wyskakując z łodzi. — Dziękujemy za przejażdżkę.

— Do widzenia! Do widzenia — odpowiedział. — Hej! nie tak prędko! Czekajcież! A mój płaszcz?

— Ach! prawda — zawołał Poot. — Byłbym zabrał płaszcz mego dobroczyńcy. — Przepraszam! przepraszam! — wołał, wracając do łodzi. — Dziękuję stokrotnie.

— No! a teraz przyjaciele — mówił Piotr — szukajmy obiadu i noclegu.

XI.

Obiad w hotelu pod „Złotym lwem.”

— Co będziemy teraz robili? — spytał Piotr. — Ja muszę spełnić polecenie Janka; pójdę szukać doktora Bockmana.

Reszta towarzystwa postanowiła zwiedzić Lejdę; Jakób poszedł z Piotrem.

Zamówili sobie nocleg i pokrzepieni obiadem, rozbiegli się po mieście. O dziewiątej wieczorem mieli powrócić do hotelu.

Ben i jego towarzysze przybiegli pierwsi. W kwardrans później wrócili Piotr i Jakób; daremnie wszakże poszukiwali doktora; jednakże chłopcy wywnioskowali z różnych objaśnień, że był w Lejdzie dzisiaj rano.

— To być nie może — sprzeczał się z Piotrem właściciel hotelu pod Wielkim Orłem; doktor zawsze u mnie staje. Gdyby był w mieście, już pełno osób czekałoby u mnie na niego. Ludzie mają tak mało rozumu!

— Jest to podobno doskonały lekarz — zauważył Piotr.

— Tak, najpierwszy lekarz w całej Holandyi, ale czego to dowodzi? Czy to taka wielka zasługa? Jest to także największy gbur, jakiego ziemia widziała. Czysty niedźwiedź. Ot, jeszcze w przeszłym tygodniu nazwał mnie, mnie samego osłem, i to wobec gości.

— Czyż być może? — zdziwił się Piotr.

— Nieinaczej, panie. I gdyby mi tak dobrze nie płacił, nie dałbym mu już nigdy pokoju. Niech go morze pochłonie!

W oczach Piotra zamigotały wesołe iskry. Spostrzegł je widocznie właściciel, pan Cleef, bo stłumił zaraz swoje oburzenie i dość kwaśno zapytał:

— A czegoż jeszcze panowie sobie życzą, kolacy? Pokoju? Wszystko znaleźć można w hotelu pod Wielkim Orłem.

— O tem nie wątpię — odparł Piotr — ale dzisiaj pragnę tylko znaleźć doktora Bockmana.

— Szukaj go pan na księżycu. Nie ma go w Lejdzie.

Piotr wszakże nie tracił tak łatwo nadziei. Pomimo oburzenia i wymysłów pana właściciela, otrzymał, a raczej kupił możliwość zostawienia listu do doktora. Nic więcej uczynić nie mógł i zmartwiony swoją bezsilnością wrócił do hotelu.

Trzygodzinna przechadzka po mieście znowu głód obudziła w podróżnikach. Zażądali kolacji; podano im dość skromną wieczerzę, złożoną ze śledzi z sałatą, kwaśnej kapusty, a na zakończenie kawę czarną i pierniki, narodowy przysmak holenderski. Nie zostawili ani okruszyn z podanych potraw; o dziesiątej udali się do wielkiej sypialni, którą sobie zamówili. Tutaj Piotr obliczył kasę, poczem wszyscy spoczęli w śnie dobrze zasłużonym.

Ben chciał jeszcze wyrażać swe zachwyty, ale nikt go już nie słyszał.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Śmierć b. królowej hiszpańskiej. Przed paru tygodniami zmarła w Paryżu Izabella II, urodzona w 1830 roku, która od trzeciego roku życia aż do 1868 r. była królową Hiszpanii. Dla niej ojciec Ferdynand VII., nie mający synów, zmienił dawne prawo, usuwające kobiety od prawa do tronu, co wywołało protesty stryjecznego brata Don Karlosa i długą wojnę domową.

Królowa Izabella nie poszła wzorem królowej Wiktoryi angielskiej, choć charakteru dobrego — była lekkomyślna i płocha, przekładała zabawę nad rządem państwem, to też musiała złożyć koronę, opuścić Hiszpanię, a choć później na tron hiszpański wstąpił jej syn Alfons XII, a następnie wnuk Alfons XIII-ty, rzadko przyjeżdżała do Madrytu, mieszkając stale w Paryżu.

Teraz wróciła do swego kraju na zawsze. Zwłoki jej złożono według średniowiecznego ceremoniału do grobów królewskich w Eskuryalu, miejscowości, leżącej o kilka mil od Madrytu w skalistej i ponurej miejscowości. Tam pod kościołem, wzniesionym przez Filipa II, znajdują się groby monarchów i monarchiń hiszpańskich.

Najprzód składają ich zwłoki w małych hermetycznie zamkniętych piwniczkach, gdzie kamienieją w ciągu kilku lat pod działaniem ciągle spływającej wody, potem dopiero przenoszą je do właściwego grobowca w głównej kaplicy, zwanej Panteonem.

Kongres w Norymberdze. W pierwszej połowie kwietnia r. b. odbył się w Norymberdze międzynarodowy kongres w sprawie higieny szkolnej t. j. zjazd lekarzy, nauczycieli i wychowawców dla narad nad zdrowotnością młodzieży szkolnej i nad zdrowotnym urządzeniem szkół. W kongresie tym brali udział nie tylko przedstawiciele wszystkich państw europejskich, ale również i z innych części świata, zarówno z Ameryki, skąd przybyli delegaci Stanów Zjednoczonych, Chili i Urugwaju, jak i z Azji, gdyż przysłała swego przedstawiciela Japonia. Było też kilku polskich lekarzy i uczonych, którzy brali czynny udział w obradach kongresu.

Jednocześnie z kongresem otwarta została specjalna wystawa higieny szkolnej, zawierająca sprzęty i przedmioty związane z urządzeniem szkół.

Na wystawie tej wśród wielu przedmiotów zwracały uwagę modele okien, otwieranych za pomocą mechanizmów nowego pomysłu; następnie okna z ruchomymi szybami, które dla mycia i czyszczenia mogą być otwierane na wewnątrz pokoju, oraz różne systemy ławek z ruchomymi siedzeniami. Były również wystawione w różnych odmianach tablice ścienne.

Poza tem ściany sal wystawowych całe zawieszono zo-

stały licznymi fotografiami różnych gmachów szkolnych w całym świecie, planami szkół i tablicami sprawozdawczymi o zdrowotności młodzieży szkolnej w różnych miastach.

W tym dziale wystawiony był między innymi plan parku Jordana w Krakowie i tablice z danymi, dotyczącymi wzrostu dzieci warszawskich, zebrane w swoim czasie przez Kolonie Letnie, a zużytkowane przez d-ra Kosmowskiego.

O parku krakowskim d-ra Jordana i jego urządzeniach do ćwiczeń i gier dla młodzieży miał odczyt prof. Gutman z Wiednia, przyczem wszyscy słuchacze po odczycie jednogłośnie uchwalili wysłanie telegramu do d-ra Jordana, w dowód uznania dla zacnego i rozumnego przyjaciela młodzieży.

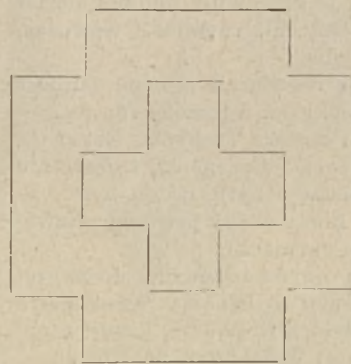
Na wystawie zwracała jeszcze uwagę zwiedzających fotografia uczniów jednego z gimnazyjów w Tyflisie, gdyż między nimi znajdowali się przedstawiciele 25-ciu różnych narodowości.

Prócz wystawy uczestnicy zjazdu zwiedzali i oglądali również miasto, a przede wszystkim szkolne budynki norymberskie, odznaczające się wzorowymi urządzeniami.

Klasa średniej wielkości w szkołach norymberskich ma zazwyczaj około 65-ciu metrów kwadratowych przestrzeni. Okna sięgają pod sufit, podłogi przeważnie pokryte linoleum, rogi w salach zaokrąglone, ściany na korytarzach do wysokości dwóch metrów wyłożone majoliką, a sztuczne oświetlenie klas elektryczne. U nas podobne urządzenia należą jeszcze do rzadkości, ale spodziewać się należy, że w miarę możliwości porządki takie zaprowadzone będą.

ŁAMIGŁÓWKA GEOMETRYCZNA.

podał Promień.



Podany na rysunku krzyż równoramienny, rozdzielić należy na cztery jednakowe części i następnie ułożyć z nich kwadrat.

LOGOGRYF.

uł. polski Chłopczyzna dla Powiślanki.

Z następujących sylab: An—a—ak—bój—błok—bie—cy—dra—kru—iza—jan—kra—ko—lec—ło—nau—na—na—o—o—rus—rio—so—szew—szów—sen—sto—ski—włoch—ułożyć 14 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół złożyłyby imię i nazwisko poety polskiego z XVI-go wieku; końcowe litery, czytane z dołu do góry winny złożyć to samo imię i nazwisko.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Imię męskie.
- 2) Imię żeńskie.
- 3) Ładunek do broni inaczey.
- 4) Powieściopisarz polski z XIX wieku.
- 5) Inaczey chmura.
- 6) Król perski, żyjący w V wieku przed Chr.
- 7) Miasto w gub. Lubelskiej.
- 8) Poeta włoski z XVI wieku.
- 9) Współczesny podróżnik do bieguna.
- 10) Rzeka w Niemczech.
- 11) Przedstawiciel jednej z narodowości europ.
- 12) Miejscowość kuracyjna w gub. Kieleckiej.
- 13) Figura geometryczna.
- 14) Patryarcha Starego Zakonu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

Zadania arytmetycznego: Pocisk armatni dosiędnie krążownika w 15 sekund po wystrzale:

Rebusu: Małecki (znany autor gramatyki języka polskiego).

Sprawozdanie z łamigłówek do nagrody

umieszczonych w Nr. 16-ym.

Rebus i zadanie arytmetyczne do nagrody, umieszczone w Nr. 16 „Wieczorów Rodziny”, obudziły wielkie zainteresowanie wśród naszych czytelników, czego dowodem wielka ilość kart z rozwiązaniami:

Trafne rozwiązania obydwóch łamigłówek przysłali następujący czytelnicy i czytelniczki: Polka, Irena K — cka, Lilijka z nad Swiśloczy, Irena Mańkowska, Waclaw Swirski, Stanisław Swirski, Stefa K., Władysława Izopolska, Stefan Świątecki, J. Paganel, Stasio z Grocholic, Jadzia z Włocławka.

Trafne rozwiązanie zadania arytmetycznego przysłali: Gołąb z pod Kasteli, E. i L. Sobieszczańscy, Rycerz żelazne serce, Dolly Ken, Kazimierz Czachowski, Słonecznik, Kropelka rosy, Gołowąs, Anula Matuszewiczówna, Jerzy Hłasko, Marya Rozenblattówna, Edzio z Płocka, Sarenka Modrooka, Joter, H. Budkiewicz, Maryla Perkowska, Kotka z nad Newy, Adela z Międzyrzecza, Sokół Litewski, Filolog.

Trafne rozwiązanie samego rebusu nadesłały: Z. Szyzkówna i Hela Kręcicka.

Dosyć dużo było mylnych rozwiązań, tak np. pisano, że kula ugodzi w krążownik po upływie 14,7 sekund, gdyż wielu czytelników nie brało pod uwagę, iż krążownik oddalał się od portu nie tylko do chwili wystrzału, ale również i wówczas, gdy już kula armatnia leciała za nim.

Jeszcze więcej było mylnych rozwiązań rebusu: zamiast *Małecki*, odgadywano *Kicki*, *Słowacki* (aż 8 rozwiązań, a przecież *cki* to sylaba a nie *słowa*) *Potocki*, *Toczycki*, *Cekai* (?), *Krasicki* (2 rozwiązania) *Czaki*, *Jacek* i *Czarnecki*, to ostatnie rozwiązanie najwięcej jeszcze ma racji bytu, bo *cki* było wydrukowane czarną farbą, ale cóż, kiedy znany pogromca Szwedów pisał się nie *Czarnecki* lecz *Czarnecki*.

Z pomiędzy rozwiązujących obydwie zadania do nagrody wylosowani zostali: Lilijka z nad Swiśloczy, Władysława Izopolska, Stefan Świątecki i Stasio z Grocholic, każdy z nagrodzonych otrzyma książkę oraz 11 ozdobnych pocztówek.

Na kosztą przesyłki nagród prosimy nadesłać po 14 kop. markami.

Odpowiedzi Redakcyi.

A. Dzwonkowskiemu. Żądany numer został wysłany powtórnie. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

Wszystkim czytelnikom i czytelniczkom naszym przypominamy że termin konkursu na rysunki i malarstwo upływa 16 maja, niechże więc pośpieszą z nadsyłaniem prac swoich ci wszyscy, co mieli zamiar wzięcia udziału w konkursie.

Odpowiedzi działu zadaniowego.

Trafne rozwiązania łamigłówek z numerów ostatnich przysłali następujący czytelnicy i czytelniczki: Kujawiak z nad Warty, Zygmunt Złotnicki, Uczennica pensyi pani Grochowskiej, Józio Karasiński, Marychna Temlerówna, Łobuziak z Ogrodowej, Lirnik z nad Bzury, Amundsen, Mazur z nad Wisły, Różyczka, Dziunia z Nowego Świata, Ostróżka Polna, Pezetka.

Zadania i łamigłówki własnego układu nadesłane przez **Mazurę z nad Wisły, Limbę i Polskiego Chłopczyne** zaliczone zostały do druku.

Jankowi Wywijankowi i H. Olech, z Dzikiej. W łamigłówkach tego rodzaju jak wasze nie tylko początkowe, ale i końcowe litery powinny składać jakieś wyrazy. Może więc opracujecie dla „Wieczorów” inne łamigłówki, biorąc za tematy do nich nazwiska wielkich ludzi, słynne miejscowości lub przysłowia nasze.

Do wszystkich. Przypominamy czytelnikom i czytelniczkom „Wieczorów”, że jeżeli łamigłówki własnego układu lub rozwiązania zadań przysyłają w listach do *Jaskółki*, to niech wypisują je na oddzielnych kartach do listu dołączonych, gdyż inaczej list przechodzi pierw przez ręce kierownika działu zadaniowego i dopiero później idzie do *Jaskółki*, wskutek czego następuje zwłoka w odpowiedziach.

Aes zwraca uwagę waszą, czytelnicy i czytelniczki, na większe przestrzeżenie poprawnej pisowni: w ostatnich listach były naprzykład takie błędy — *korespondent* przez *q* i *g*, *tworzy* przez *ż* i zamiast *gęś* — *gieś*.

Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów).

L. Krzymuski (Warszawa, ul. Szkolna Nr. 8 m. 3) pragnie korespondować z Figlarzem warszawskim i Wielkim Łobuzem.

Józef Światopełk-Mirski (majątek Miory, poczta Miory, Wileńska gub.) życzy sobie zamieniać pocztówki z czytelnikami „Wieczorów Rodziny”.

Jadwiga Jeanę (Warszawa, ul. Wiejska Nr. 1) chciałaby korespondować ze Switezianką.

Hela Wyszomirska (Warszawa, Twarda Nr. 10 m. 4) pragnęłaby zamieniać karty z Szarą Kotką, Szarotką z Tatr, Złotą Gwiazdką, Wiochną, Miri, Wajdelotką, Tęsknotą i Kochającym Serduszkem.



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: Maj, wiersz przez Bożymira (z ryc.) — Cudowny kwiat, przez Zofię Bukowiecką. — Ś. p. Piotr Chmielowski (z port.) — Pse pole, powieść Włodzimierza Trampczyńskiego. — W majowy poranek (ryc.) — Srebrne łyżwy, przekład A. M. — Ze świata. — Łamigłówki i rozwiązania. — Sprawozdanie z łamigłówek do nagrody. — Odpowiedzi redakcyi. — **Dodatek:** Kocia gospodarka, wiersz przez Z. Mrozowicką (z ryc.) — Moje opowiadania, przez Zofię Bukowiecką. — Dary, przekł. M. G. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Obowiązek, powieść dla młodzieży przez Julię Piasecką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою, Варшава 17 Апрель 1904 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.

Kocia gospodarzka.

Były kotki swawolniki —
Gdzie? Nie powiem to nikomu.
Co za wrzaski — co za krzyki —
Co za harce w całym domu!

Jak chwytają tam łakotki,
Gdzie się tylko chwycić uda —
Jednym słowem — owe kotki
Wyprawiały istne cuda.

Wszystkim rzecz się uprzykrzyła,
Gdy przebrały kotki miarę,
I różeczka zakończyła
Ową kocią gospodarzkę.

Gdzie to było — ja nie zdradzę,
Co za kotki — rzecz nie mogę —
Tylko wszystkim kotkom radzę
Wziąć ten dramat za przestrożę.

Z. Morawska.



Koty w szkole.

Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).

Najlepszą granicę stanowi dla każdego państwa morze: rabuś sąsiad, mieszkający z drugiej strony wody, nie łatwo wtedy urwie kawał kraju. Dobrą granicą są wysokie góry, przez które samemu przejść trudno, a tem trudniej przeprowadzić wojsko i armaty. Bystro płynąca rzeka bywa też niezłą obroną, dla tego każdy monarcha, to jest gospodarz państwa, powinien się starać, żeby jego dziedzictwo było odgraniczone od sąsiadów morzem, górami lub rzeką. Takie granice nazywamy naturalnymi, to jest stworzonymi przez samą naturę.

W braku granic naturalnych, tam, gdzie natura nie dała ani morza, ani gór, ani bystrych rzek, musi monarcha starać się o sztuczną obronę granic, to jest stawiać na krańcach państwa warownie, obsadzać je wojskiem i strzedz pilnie, aby sąsiad nie napadł z nie-nacka.

Tak właśnie postępował Bolesław Chrobry. Rze-

ki Elba i Sala, chociaż w nich kazał wbić słupy graniczne, nie były dostateczną obroną od Niemców, dla tego też mądry ten król budował nad rzekami grodziska czyli kastele i umacniał niemi państwo od zachodu.

Przyjrzyjmy się teraz bogactwom równiny Polan, na której wśród puszczy szumiały chlebne kłosa żyta i pszenicy. Południową stronę kraju zasłaniają góry Tatry, niby graniczny słup, od nich zaś bieżą w głąb państwa małe pasma wzgórz. Z tych to wzgórz spływają rzeki, jedne jak Wisła, Warta, Odra, dążą na północ razem ze swemi dopływami, inne jak Dniepr, Dniestr, Boh, bieżą na południe do morza Czarnego.

Rzeki te służyły za drogi dla kupców, którzy przewozili po nich swoje towary, a żywiły rybami ludność osiadłą na brzegach. Oprócz rzek mamy jeszcze na ziemi naszej źródła żelaziste lub słone, w Krynicy, Szczawnicy, Iwoniczu, Ciechocinku, Solcu i Busku, są te lecznicze wody wielkim bogactwem wspólnem; choć w dawnych wiekach nie znano ich wartości, spisując skarby naszej krainy, wymieniać je musiałam. Pominąć też nie należy i rybnych jezior, których naliczyłabym wiele. Nad jednym

z nich i to największem, stała kolebka Piastów, Krużwica, leży ona jak wiecie u brzegów Gopła. Lech także nad jeziorem zbudował Gniezno, bo jest tych jezior niemało ku północy i od zachodu.

Takie to wody skrapiają naszą ziemię. Z puszczy, które ją porastały mało dziś zostało lasów, gdyż nie umieliśmy szanować bogactwa drzew rozmaitych; od iglastej sosny, modrzewia i jodły, do liściastych brzoź, lip, dębów. Trudno wam nawet wyobrazić sobie teraz, jak wielkimi były te drzewa, dość powiedzieć, że w dębie, który rósł na pruskim pograniczu, założyli rycerze warownię dla obrony od dzikich pogan i kilkunastu ludzi warowni tej strzegło.

— Nielada drzewko, w którym żołnierze mieszkają mogą — powiecie, a ja wam jeszcze przypomnę olbrzymie maszty okrętów, z których-że są, jeśli nie z naszych rąbane lasów. Te same sosny, które szumiały kiedyś nad Wisłą, służyły potem obcym narodom do przewożenia ich bogactw przez morza.

Woniały też w dawnych czasach olbrzymie lasy lipowe, lada wydrążony pień służył za ul dla pszczół, a miód i wosk, zebrany z tych pasiek, wywożono do Niemiec, nawet za morze do Anglii i Francji. Ale nie tylko lasy rosły bujnie na naszej ziemi, wykarczowane polanki obsiewali pradziadowie zbożem rozmaitem, a że rodziło się dobrze zostawało go dużo po wykarmieniu wszystkich głodnych braci. Zawozili flisacy chlebne ziarno Wisłą do morza, żeby je razem z miodem i woskiem sprzedać kupcom z daleka przybyłym.

Sprzedawano też i skóry zwierząt, bo żyło ich na naszej ziemi wiele i rozmaitych. Hrabia Włodzimierz Dzieduszycki, człowiek szlachetny, miłujący swój kraj a dumny z jego bogactw, założył we Lwowie muzeum skarbów danych nam od Boga na warsztat do pracy. Są więc tam minerały jak: żelazo, sól i węgiel, których tak wiele leżało w naszej ziemi, jest siarka, nafta, kreda, granit, marmur, srebro, bursztyn, bo po tę skamieniałą żywicę z południowych krajów przyjeżdżali do nas kupcy.

Zobaczycie w muzeum rośliny i zwierzęta, wszystko co żyje w naszych wodach, na naszych polach, co stanowi ich ozdobę lub pożytek. Poznacie ile ryb przeróżnych pruje fale rzek, w których lubicie się kąpać, ile kwiatów barwi łąki, po których biegacie tak chętnie, ile ptaków fruwa w ojczystem waszem powietrzu, którem oddychać tak miło.

Będą w tym muzeum olbrzymie tury, żubry, łosie, bawoły, niedzwiedzie, będą drapieżne wilki, rysie, żbiki, będzie bóbr, gdyż gnieździł się on dawniej gromadnie na Mazowszu i na Podlasiu

O mój miły bobrze, schowajże się dobrze

Od niedzieli do niedzieli, żeby cię pieski nie wzięli"

śpiewają dotąd chłopcy nasi w czasie zabawy, pamiętają bobry, gdyż kosztowne bobrowe futro wielu myśliwym dało zarobek.

(d. c. n.)



D A R Y .

przełożyła z angielskiego

M. G.

(Dalszy ciąg).

Na zakręcie drogi, wpadły na dwie bryki, namiot i budę cyganów, rozłożonych przy drodze. Bryki obwieszane były trzciniowemi krzesłami, kołyskami i miotełkami. Gromada obdartych dzieci robiła zgrabne babki z piasku na środku drogi, dwóch cyganów leżało na trawie, paląc fajki, a trzy cyganki prały bieliznę w obtłuczonym glinianym dzbanie z utraconym wierzchołkiem.

W mgnieniu oka cyganie otoczyli Antę z Jagnięciem.

— Daj mi go na ręce, panienko — przemówiła jedna z cyganek, z twarzą koloru mahoniowego drzewa i jasnymi włosami. Nie spadnie mu jeden włos z główki temu aniołkowi.

— Wolę go sama trzymać — odparła Antea.

— Daj go mnie! — prosiła druga cyganka z twarzą tak samo malowniczej barwy, i z włosami czarnymi jak smoła, poskręcane w strączki. Mam dziecięciorko dzieci, więc potrafię...

— Nie, nie dam! — odpowiedziała mężnie Antea, ale serce biło jej tak silnie, że tchu jej brakowało.

Jeden z cyganów wysunął się naprzód.

— Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli to nie mój własny chłopak, który mi zginął oddawna. Czy ma na lewym ramieniu znamię kształtu maliny? Nie? a więc to on sam, nieboraczek, którego skradli źli ludzie. Oddaj mi go, to nie będę się z wami prawował po sądach...

Wydarł maleńkiego z rąk Antei, która stanęła w płomieniach i rozplakała się z gniewu. Reszta dzieci skamieniała z przerażenia: była to najokropniejsza przygoda, jaka im się kiedykolwiek zdarzyła. Nawet zaareztowanie w Rochester niczem było w porównaniu. Cyryl zbladł jak płótno i ręce mu drżały, ale dał znak reszcie dzieci, żeby milczały. Sam namyślał się przez chwilę a potem powiedział:

— Nie będziemy go zatrzymywali, jeżeli jest wasz. A sami widzicie, że jest przyzwyczajony do nas. Oddamy go wam, jeżeli będziecie koniecznie żądali.

— Nie! nie! — krzyknęła Antea, ale Cyryl spojrzął na nią znacząco.

— Naturalnie, że będziemy żądali! — powtórzyła cyganka, usiłując odebrać malca człowiekowi, który go piastował.

Jagnię zaczęło wrzeszczeć na całe gardło.

— Ach! oni mu coś zrobili! — krzyknęła Antea.

Ale Cyryl z gniewem szepnął jej, żeby „trzymała język za zębami.”

— Zaufaj mi — dodał szeptem, a potem powiedział głośno:

— Dziecko jest bardzo zmęczone, i boi się obcych ludzi. Pozwólcie nam tu zostać, dopóki się z wami nie oswoi, a kiedy wieczór nadejdzie, daję wam sło-

wo honoru, że odejdziemy, i zostawimy wam dziecko jeżeli będziecie chcieli. Po naszym odejściu możecie się ułożyć, kto je zabierze, jeżeli wszyscy macie na niego ochotę.

— Tak będzie najlepiej — odrzekł człowiek piastujący dziecko, usiłując rozluźnić czerwoną chustkę, której końce pochwyliło Jagniątko i ściągnęło tak silnie na jego brunatnej szyi, że zaledwie mógł odychać.

Cyganie zaczęli szeptać ze sobą a przez ten czas Cyryl zdążył powiedzieć rodzeństwu:

— Do zachodu słońca! Potem pozwolą nam odejść...

Rodzeństwo zdumiało się i zachwyciło jego mądrością.

— Ach! puśćcie go do nas! — prosiła Kizia. — usiądziemy tutaj i będziemy go zabawiali, dopóki nie przyzwyczai się do was...

— A co będzie z obiadem? — zapytał nagle Robert.

Reszta dzieci spojrzała na niego ze wzgardą.

— Nie nudź nas swoim obiadem, kiedy twój br... to jest dziecko, chciałam powiedzieć... — szepnęła z gniewem Kizia.

Robert kiwnął głową i zwrócił się do cyganów:

— Czy pozwolicie pójść do domu po obiad? — Przyniosę jedzenie w koszyku...

Rodzeństwo uważało się za wyższe od niego istoty i uczuło dla niego wzgardę. Nie zrozumiał nikt jego myśli. Ale cyganie odgadli odrazu.

— A tak, zapewne! — przemówił któryś. Pójdziesz po policję i nakłamiesz, że dziecko jest wasze, nie nasze? Czyś widział kiedy śpiącą łasicę? — dodał.

— Jeżeli wam chce się jeść, możecie od nas dostać coś do zjedzenia — odezwała się dobrotliwie jasnówłosa kobieta. Uważaj no, Lewi! Dziecko poobrywa ci wszystkie guziki. Oddaj je lepiej tej panience, a potem zobaczysz, że się z nami oswoi.

W ten sposób Jagnię wróciło w objęcia rodzeństwa, ale cyganie otoczyli dzieci tak ściśle, że niepodobna było uciszyć jego wrzasków. Po chwili cygan w czarnej chustce odezwał się:

— Słuchaj-no, Faraonie; rozpal ogień, a wy baby zabierzcie się do garnków. Zostawcie dziecko w spokoju.

Cyganki choć niechętnie odeszły do roboty, dzieci ich poszły się bawić, a Jagnię zostało z braciškami i siostrzyczkami, usadowione na trawie.

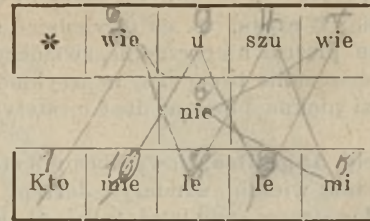
Wszystko się uspokoi o zachodzie słońca — szepnęła Kizia. — Ale ach! jakie to straszne! A jeżeli oni będą się gniewali, gdy powrócą do przytomności? Mogą nas obić, albo poprzywiązywać do drzew, albo zrobić coś jeszcze gorszego...

— Nie, nie zrobią tego! — odpowiedziała Antea. O! moje drogie Jagniątko! nie krzycz tak... Wszystko będzie dobrze, „Panteja” zostanie z tobą, gołąbeczku! Oni są dobrzy ludzie; gdyby byli źli, nie daliby nam obiadu...

(d. c. n.)

ZADANIE KONIKOWE.

ul. Jadzia z Włocławka.



ZAGADKI.

ulożyła Czeremcha.

Jakie są *rany*, co mają rogi?

Jakie są *mary*, które latają?

Jakie są *paki*, które pływają?

Jakie są *maki*, co mają nogi?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

Homonimu: Korona.

Arytmogryfu w trójkącie:

K	r	a	k	ó	w	
R	a	k	ó	w		
A	r	k	a			Nazwa
K	r	a				miasta:
Ó	w					Kraków.
W						

Skrzynka do listów.

Za cichym borem, ponad jeziorem, błonie się stroi w kwieciste
[wianki,

Pstrzą się tam w kole, jaskry, kąkole, złote dziewanny, białe
[rumianki...

Pisze Czajkowski. Ale i listy wasze pstrzyły się dziś od kwiatów, pachną fiołki, zawilce i bratki śmieją się wiosną do Jaskółki, a Jaskółka pieści fiołki, zawilce i bratki z myślą o kochanych siostrzyczkach, które ustroiły jej biurko w kwieciste wianki. A nie tylko kwiatki przyniosła mi dziś w darze nasza skrzynka, znalazłam między listami fotografie **Carissimy, Powiślańki, Sandomierskiej wieśniaczki i Hal-ki z Teterowa**. Trzy ostatnie zwłaszcza są wyraźne, czytam w oczach mych piskląt wszystko, o czym szepcą ich dusze. Ciebie, Carissimo, odgaduję pod postacią białej dziewczynki, czy trafnie? Każda z was ma osobny kącik w memsercu, bo każda jest odrębną indywidualnością, której rozwojowi chciałabym dopomóc, więc życzenie twoje spełnione, Carissimo, a ty Halko dotrzyмай obietnicy i napisz niedługo.

Dziękuję, **Nadobrzanko**, za kartę twoją i kochanego **Lutnisty**, obie miłą mi będą pamiątką. Proszę donieść, czy budowa kaplicy postępuje, życzę całem sercem, aby z Bożego przybytku spłynęły łaski na wszystkich, którzy się w nim modlić będą, a wy modlić się umiecie i czynami miłosierdzia i za to właśnie was kocham. Nie znam dokładnie wieku korespondentki, o którą pytasz, sądzę że ma już piętnaście lat.

Takie to bywają redaktorskie troski, **Amundsenie**, szkoda, że nie zaprosiłeś do współpracownictwa Jaskółki, umieściłaby w twojej Papudze wiadomość o wynalezieniu nowej maślnicy, która w 8 minut przerabia 46 funtów masła. Wynalazcą jest Polak, Józef Hirszfild sławny podróżnik, jemu to w wielkiej części należy się zaszczyt zbadania środkowej Afryki, to jest biegu rzeki Konga i okolic jeziora Czad. Czyż nie ciekawa notatka do „wiadomości bieżących” Papugi. Przyślij nam kiedy numer.

Hajduczek z Wiru musi zostać przy swoim pseudonimie, gdyż ten, który teraz wybrałeś, jest już zajęty. Książkę redakcja posłała, ja zaś dziękuję ci bardzo za ciekawe szczegóły o Rawie i proszę donieść mi, czy egzamin się powiódł.

Zmartwi cię, **Wenus**, to, co powiedzieć muszę, ale i ja jestem zdania, że piszesz nieporządnie, świadczy o tem udarty papier listu i opuszczanie liter, jak na przykład *H* w wyrazie Hedwige. Bogini piękna powinna dbać o estetykę... no i o czytelność.

Nie zjem cię, **Jagódka**, nawet boa nie strawiłby osóbkę opancerzonej w tak wielkie zamiary. Jestem gotowa przyklasnąć im z całego serca, pamiętaj tylko, że, aby zostać kiedyś lekarzem, trzeba dziś już każdej, milej czy mniej milej lekcyi, uczyć się pilnie, a Bóg nagrodzi twoją wytrwałość, będziesz nieść pomoc cierpiącym. Jaskółka zamawia sobie konsultacyę u doktora — Jagódki.

Polka bardzo miłutko opisała mi swoje koleżanki, masz słuszną, nie należy nigdy zniechęcać tych, których wychowujemy, jeśli mało okazują zdolności do nauk, to starajmy się rozbudzić w nich wiarę, że pracą potrafią na innym polu służyć bliźnim. Niech tylko mają prawdziwą miłość, a cudów dokazać zdołają. Bez podania twego nazwiska, Polko, redakcja nie może ogłosić zamiany kart.

Utyliłabym cię, **Wajdelotko**, skrzydełkiem, bo rozumiem żal opuszczenia rodziców. Ale nie powiększaj ich smutku swoim, bądź mężną, dla twego dobra to rozstanie.

Prawda, że dawno nie pisałaś, **Tesiu z Malin**, wybaczam to jednak chętnie. Mazurki, podarki świąteczne i goście niebezpiecznymi są rywalami Jaskółki, która cieszy się waszą radością i życzy smacznego apetytu, byle tylko braciszkom twoim rumianek lub co gorzej pewien olejek nie był potrzebny. Rysunek Władzia bardzo dobry, dziękuję mu za jelenia i sasanę, tobie zaś, Tesiu kochana, radzę pracować nad polską ortografią, tem więcej, że masz się uczyć po angielsku. Wyraz *radko* należy pisać przez *rz*, *późno* przez *ó*, wujaszek przez *u*. Przyjmij te przestrogi tak życzliwie, jak życzliwie ci są dane i obdarzaj listami Jaskółkę.

„Nie zrobię ci tego wstydu, żeby „zimować” w klasie, bo przecież należę do Jaskółczego kółka, a w nim niewolno się lenić” pisze kochana **Borówka**. Tak, piskłeta moje, dajcie dowód, co znaczy honor korporacyi, niech jak z rogu obfitości posypią się nagrody, pochwały i promocye. Odbierając je, pomyślicie, prawda? o radości, jaką mi sprawią wasze postępy. Po cóż szukasz grafologa, Boróweczko droga, ja bez niego czytam z twego pisma serce gotowe kochać wszystko, co szlachetne. Czy się mylę? Konkurs będzie ogłoszony.

Twój list, **Ostróżko Polna**, bardzo mnie ucieszył. Dziękujesz za nagane, poprawa widoczna w piśmie, brawo Ostróżko! postępuj tak dalej, a jestem pewna, zdobędziesz wiele.

Kto jest zuch nad wszystkie zuchy? Moje kochane **Nadnieprzańskie Hajduczki**. Posłuchajcie! Chcą one zniszczyć redakcyjne nożyce, żeby Jaskółka dłuższe listy pisać mogła. Oj! pisałabym bez końca do drogiej Hajduczków, które pamiętają o biednych dzieciach, ale nożyce żartują sobie z waszego gniewu i po dawnemu ostrzą zęby na zbyt długi list. Więc do widzenia, Hajduczki kochane.

Donoszę **Polskiemu Chłopczyźnie**, że konkurs pomysłowości dawno już skończony, za to pomysł zawiązania korespondencyi z naszym kółkiem jest bardzo na czasie, pisz więc dalej, Chłopczyźnie

Zaliczam cię, **Biała Koteczko**, do bardzo miłych korespondentek, staruszką zostaniesz wtedy, kiedy skończysz lat piętnaście. Chcesz rady na nieśmiałość, ja jedną radę na wszystkie daje wam wady, starajcie się kochać ludzi i okazywać im serce. Uśmiech, drobna usługa, życzliwe słowo, to się od was bliźnim należy, jeśli nieśmiałość przeszkadza ci, Kotko, w tej jałmużnie ducha, to się nie daj krzywdzić nieśmiałości, zwalcz ją i bądź radością ukochanych.

Dziękuję ci, **Luszeko**, za fiołki, często myślę o tobie ze współczuciem, bo pamiętam nieszczęście, jakie was spotkało. Napisz, jak spędzasz czas i dlaczego wolisz miasto od wsi.

Czemu to **Złota Gwiazdka** taka skąpa w słowa, dawno należy mi się od niej liścik, czy aby zdrową jesteś, Gwiazdka, bo karta twoja nie o tem nie mówi.

A ty, **Szarotko z Tatr**, czemu nie podpisujesz się na listach, czy to zwyczaj, zwłaszcza gdy jak dziś, skrzynka dużo zawiera korespondencyi. Odgadłam cię po fotografii Zakopanego. Jakże chętnie pojechałabym w tym roku do was, wiedząc, że profesor Bujwid organizuje w Zakopanem wykłady wakacyjne. Piękna myśl użyć letniego odpoczynku i słuchaniem odczytów uzupełniać wykształcenie za bardzo tanie pieniądze, bo miesięczny pobyt wraz z nauką ma kosztować tylko 110 koron. Szkoda, że śmierć zabrała nam tak znakomitego jak Chmielowski prelegenta, w waszem Zakopanem czuł się zdrowy, oby go był nigdy nie opuszczał. Nie znam adresu Mazurki.

Przebaczam ci wspaniałomyślnie twoje długie milczenie, **Wiosenny kwiecie**, czyż mogę tego nie uczynić dla korespondentki, świeżo pasowanej na staruszkę. Pasowanie odbywało się zawsze z wielką uroczystością, wręczano rycerzowi miecz i ostrogi, czemże ciebie staruszek obdarzę przy tej okazji? Chyba serdecznem uściśnieniem na zadatek przyjaźni, mam nadzieję, że dochowasz mi ją mimo podeszłego wieku.

Mam młodszych od ciebie korespondentów, **Sobku z Chmielnika**, ale mało takich, którzyby starannie, jak ty, pisali. W 7 numerze „Wieczorów” znajdziesz objaśnienie Pałajczyńszczyści, zajrzyj, Sobku, do naszego kochanego piśmka.

Wdzięczna jestem twej szanownej mamie, **Janku Wywijanku**, że namówiła cię do listu, nasze koło pozyska dzielnego korespondenta, a ty w braku rodzeństwa znajdziesz przyjaciół wśród nowych znajomych. Czy lubisz książki? czy zbierasz biblioteczkę? Nie mała to pociecha mieć w swej szafce szereg wielkich ludzi, gotowych zawsze przemówić do nas mądrymi, dobrymi i wzniosłymi słowami.

List twój, **Zochuo**, bardzo mnie zajął, a że odpowiedź odbierzesz około 15 maja, więc przesyłam ci serdeczne życzenia. Zdjaj dobrze egzamin, obudź w sobie miłość dla piękna, wzbogać umysł wiadomościami, serce naucz rozumieć wszystkie bóle i wszystkie uczucia ludzkie, a wtedy dopiero pisz powieści. Tymczasem zaś pisz do Jaskółki, czy dobrze, Zochno?

Zachowałam na ostatek listy wasze, **Powisłanko, Sandomierska Wieśniaczko i Królewianko**, odpowiadam na nie razem, bo potrącacie o te same kwestye i zdradzacie jednakowe dążenia. Ciesz się spółki włościańskie, któżby się nimi nie cieszył, zwłaszcza w obec klęski powodzi. Daleko ważniejszym jest obowiązkiem zapobiedz złemu, niż złe leczyć, spółki nauczają lud radzić o swoich potrzebach, dadzą mu dobre ziarno na siew, ulepszą hodowlę bydła, dostarczą narzędzi odpowiednich przy uprawie roli. Znam spółki w Poniańskim, znam nawet ich czcigodnego patrona Jackowskiego, radzę, wypytajcie starszych, powiedzą wam, ile dobrego organizacya spółek przyniosła ludowi nad Wartą. A czy nie uda się wam nakłonić i kobiet wiejskich do zawiązywania spółek, chów trzody i drobiu, warzywa ogrodów, sprowadzanie wełny na wełniaki zyskałoby niezawodnie, gdyby się tem zajęła rozumna spółka. Spróbujcie. Ja także wolę ratować bliższą nędzę od dalszej, ulicznika wałęsającego się nad Wisłą, od Murzynka, i przedstawię redakcyi wasz projekt składania marek na bliższą nam biedę, ale nie zacieśniajmy serca, uczmy się współczuć niedoli gdziekolwiek ona się znajdzie. Złe jest być Don Kiszotem, lecz piękna rzecz być rycerzem każdej dobrej sprawy, prawda, dziewczynki moje?

Czuję nożyce redakcyi nad listem, więc rozwijam skrzydła i frrrrrr! odleciała

wasza Jaskółka.